

Marta Gliniecka

Spotkanie ze sztuką

Niektóre dzieła sztuki przytłaczają nas swoją wielkością. Do tego stopnia, że czasem trzeba cofnąć się o krok i nie patrzeć z bliska, bo mieć dzieło na odległość rzutu kamieniem, nie oznacza jeszcze widzieć dokładnie. Czasem warto odwrócić wzrok od zabytków i popatrzeć na reakcje tych, którzy się im przyglądają, znajdując wśród nich spojrzenia pełne zachwytu lub sprzeciwu, uśmiech lub łzy, które nieraz bywają cenniejsze od najpiękniejszych marmurów i malowideł. Pamiętam swoją wizytę w duńskim kościele, gdzie stałam otoczona monumentalnymi posągami Thorvaldsena. Wydawało mi się wówczas, jakbym znajdowała się na wielkiej, pięknie rzeźbionej szachownicy, na której byłam tylko jednym z pionków. Hans Christian Andersen - przyjaciel owego duńskiego rzeźbiarza, rzekł raz, że *życie jest baśnią, napisaną ręką samego Boga*. Być może przywołałam te słowa, na widok misternie wykończonej postaci Jezusa, znajdującej się w tym właśnie duńskim kościele. Marmurowa biel, idealne proporcje postaci wzbudzały mój podziw, ale i onieśmienie. Jezus duńskiego rzeźbiarza miał bowiem w sobie coś z greckiego herosa o surowym obliczu. I zdawało się, że również klęczący przed nim anioł, choć kłaniał się w pokorze z wyciągniętą w dłoniach tacą, nie wyzbył się do końca pozy dumnego wojownika. Czy to dlatego, że uczyniony został ręką ludzką?

Stałam tak pełna podziwu wobec ogromu geniuszu ludzkiego, do czasu, kiedy moją uwagę zwrócił zabłąkany na ołtarzu motyl. Surowy podziw ustąpił wówczas miejsca zdziwieniu, że oto już nie jestem sama, bo on zdawał się być taki mały wśród tylu monumentalnych posągów. Delikatny, bezbronny, a noszący w sobie niewypowiedziany słowami znak. Jakże inny od tych zaklętych w marmurze postaci. Kolorowy trzepot skrzydeł sprawił, że myśli moje powędrowały poza mury świątyni, żeby przez chwilę oczami wyobraźni znaleźć się na górskim szlaku i ujrzeć tam przybitą na jednym z drzew drewnianą kapliczkę. Taką trochę nieporadną, daleką od harmonii Apollina, lecz może przez to bliską sercu?

Wiele można takich kapliczek spotkać na przydrożnym szlaku, gdzie błoga cisza, spokój, samotna chata przyklejona do skały, cykanie świerszczy i góry potężne, a jednocześnie pełne majestatu. Na takim szlaku ludzie często się pozdrawiają. Może mniej mają innych rzeczy do podziwiania i udaje im się przez chwilę

siebie nawzajem zauważyć? Czasem zdaje mi się, że być wolnym naprawdę to czuć radość z tego, że się ma niewiele, bo przez to więcej siebie dla innych dać można. Czy to właśnie kierowało bratem Albertem, gdy zamieszkał w swojej pustelni, do której dotrzeć można jedną z takich właśnie ukrytych wśród drzew, kamiennych dróg. Pustelnia brata Alberta, Adama Chmielowskiego, tego, który będąc również artystą wrażliwym na barwy i kształty, podobnie jak Thorvaldsen, poszukiwał prawdy boskiego oblicza. Twarz Boga, twarz Chrystusa odnalazł jednak w rysach zwyczajnych ludzkich twarzy, tych najbardziej zmęczonych, smutnych, zatroskanych, bezbronnych, jak ten motyl z duńskiego ołtarza. On malarz, artysta, zrezygnował z blasku chwały i wernisaży, z podziwu i szacunku wobec własnych zdolności. Przywdział habit franciszkańskiego mnicha i wyruszył na służbę, pozostawiając po sobie obraz: *Ecce homo*.

Bo im bardziej ktoś pozna wolność, tym mniej z niej korzysta? A przecież dla tejże wolności Adam i Ewa opuścili Eden. Gdyby jednak stało się inaczej, nie powstałyby rzeźby Thorvaldsena, ani baśnie Christiana Andersena, ani też Brat Albert nie stworzyłby swoich obrazów. Czy przeznaczeniem człowieka musiało być wygnanie z raju, by choć przez chwilę sam mógł poczuć się twórcą?